



Maciej Zaremba  
**Polski hydraulik**  
i inne opowieści ze Szwecji



Seria REPORTAŻ

Paweł Smoleński *Izrael już nie frunie*

Mariusz Szczygieł *Gottland*

Włodzimierz Nowak *Obwód głowy*

Maciej Zaremba *Polski hydraulik*

Renata Radłowska *Nowohucka telenowela*

Klaus Brinkbäumer *Marzenie o życiu. Afrykańska odyseja*

Martin Pollack *Kto zabił Staszków*

Maciej Zaremba

# **Polski hydraulik**

i inne opowieści ze Szwecji

Przełożyli Wojciech Chudoba, Katarzyna Tubylewicz,  
Jan Rost, Anna Topczewska



Wołowiec 2011

Projekt okładki i stron tytułowych AGNIESZKA PASIERSKA  
Zdjęcie na okładce © by PER WAHLBERG/SCANPIX  
Zdjęcia Autora © by ERIK VON PLATEN

Copyright © by MACIEJ ZAREMBA, 2008  
Copyright © for the Polish translation by WOJCIECH CHUDOBA, 2008  
Copyright © for the Polish translation by KATARZYNA TUBYLEWICZ, 2008  
Copyright © for the Polish translation by JAN ROST, 2008  
Copyright © for the Polish translation by ANNA TOPCZEWSKA, 2008

Redakcja BOŻENA DUDKO  
Projekt typograficzny i redakcja techniczna  
ROBERT OLEŚ / DESIGN PLUS  
Korekta MAŁGORZATA PASZ / DESIGN PLUS  
MAŁGORZATA POŹDZIK / DESIGN PLUS  
Skład: MAGDALENA KĘDZIERSKA / DESIGN PLUS

Zrealizowano w ramach Programu Operacyjnego Promocja Czytelnictwa  
ogłoszonego przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego



ISBN 978-83-7536-307-4

Cena: 25 zł

*Piotrusiowi*



Plakat Polskiej Organizacji Turystycznej z 2005 roku autorstwa  
Andrzeja Kozłowskiego i Krzysztofa Turowskiego.

Fot. z archiwum Macieja Zaremby

## Polski hydraulik

### 1.

Widmo krąży po Europie – widmo polskiego hydraulika. Polak z kluczem do rur, *le plombier polonais*, pojawił się we francuskiej debacie wiosną 2005 roku i zmienił bieg historii. Upiór ze Wschodu, który miał odebrać zarobek panu Dupontowi, przeraził Francuzów do tego stopnia, że powiedzieli „nie” tej samej Europie bez granic, którą sami wcześniej wymyślili.

Wielu Polaków najpierw zafrapowało, że ich wędrujący rzemieślnik storpedował projekt konstytucji europejskiej. Potem poczuli się docenieni. Jeśli stu pięćdziesięciu polskich hydraulików (więcej ich nie było) mogło spowodować panikę w kraju, w którym brakuje około sześciu tysięcy *plombiers*, to w polskiej sztuce hydraulicznej musi być coś szczególnego.

Wkrótce Polska Organizacja Turystyczna przygotowała stronę internetową, na której przystojny hydraulik (beztrosko, a jednak jakże obiecująco, z kolankiem w garści) uspokaja Francuzów, że nie przyjadzie, za to oni są mile widziani w Polsce, i to jak najliczniej. I roześmiała się cała Europa. Najweselej śmiali się Brytyjczycy, którzy zawsze próbowali zranić francuską pychę, ale nigdy im się to nie udawało.

Żyjemy w osobliwych czasach. Półtora wieku od *Manifestu Komunistycznego* („Widmo krąży po Europie – widmo komunizmu”) robotnik znowu budzi trwogę. Tym razem nie wymachuje sztandarem, nie próbuje obalić ustroju, nie wygląda nawet na mściciela krzywd. Chce tylko pracować. Zaprawdę nie żąda zbyt wiele. I właśnie to przeraża. Że tak mało żąda.

Dwieście lat temu, na przykład, spierano się w Europie o granice. Zawsze znalazł się ktoś, kto chciał je przenosić. Teraz – i przez wiele jeszcze lat – będziemy się spierać o ludzi, którzy przenoszą się sami, ciągnąc za sobą granice niewidzialne. Ingerencja polskiego hydraulika w historię Francji to tylko początek dłuższego dramatu. On namiesza jeszcze w wielu krajach. Spójrzcie tylko, już przekształcił Danię w twierdzę, sprowokował szwedzkich związkowców, żeby krzyczeli do Łotyszy: „*Go home!*”.

Ten wędrujący rzemieślnik ma przedziwne zdolności. Między innymi korumpuje praworządnych zazwyczaj obywateli. Kiedy wspominam szwedzkiej koleżance, że mam na tapecie polskiego hydraulika, ta aż dostaje wypieków: – Co! Znasz jakiegoś? Jest wolny?

Cudzoziemiec z uniwersalnym kluczem do rur śni się jej po nocach. Nie odważę się przytoczyć epitetów, jakimi określa rodzimych speców. Najwyraźniej zwykli zostawiać ją z ciekącymi rurami, zapaćkanymi ścianami i słonym rachunkiem. Najbardziej oburza ją wspomnienie ich drogich samochodów. Tak więc cała jej nadzieja w hydrauliku w małym samochodzie na zagranicznej rejestracji.

Hydraulik Markus z Karlstadu w Szwecji skręca rury w dzielnicy Lysaker Brygge nad fiordem Oslo. Markus nie ma jeszcze dwudziestu lat i jest niecierpliwy. Chce mieć BMW, a w Norwegii zarabia prawie dwa razy więcej niż u siebie.

Dziesiątki tysięcy szwedzkich *gastarbeiterów* jeździ do Norwegii w pogoni za lepszymi warunkami pracy. Znajdziesz ich na budowach, w portach, przy robotach drogowych. Norweski kapitał nie narzeka. – Norwedzy objają się – można usłyszeć. Szwedzi są bardziej elastyczni, mają wyższe morale i harują od świtu do nocy.

– Jesteśmy tu po to, żeby pracować, a nie w jakimś, kurczę, kurorcie – mówi Markus.

Również norweskie kobiety zdają się usatysfakcjonowane, przynajmniej te w Ålesund na północ od Bergen. – Zawsze fajnie, jak przyjedzie świeże mięso – mówią. To mięso to pracownicy firmy Lossekompaniet. Mechanicy samochodowi ze szwedzkiego Halmstad, którzy rozładują mrożoną rybę za sześćdziesiąt tysięcy koron miesięcznie (około dwadzieścia pięć tysięcy złotych), są inni od norweskich chłopaków. To prawdziwi dżentelmeni, którzy dzwonią dzień po, albo nawet zaproszą do restauracji...

Norweskie związki zawodowe zdają się mniej ukontentowane. Szwedom zarzuca się dumping płac.

Do Karlstad i Halmstad, które opuścili Markus i jego koledzy, przyjeżdżają Wiesław i Piotr z Siemiatycz. Nie marzy im się BMW, jeszcze nie, chcą na razie położyć nowy dach na swoim domu, kupić solidne meble do jadalni i zapłacić za studia dzieci. Zostają sześć miesięcy, mieszkają w przerobionym garażu, stawiają willę i zarabiają dwa razy tyle, co w Polsce, ale tylko połowę tego, co Szwedzi Torsten i Gunnar dostają parę kroków dalej na tak zwanej szarej budowie.

Puste miejsce, które zostawili po sobie Wiesław i Piotr – razem z tysiącami innych, w Polsce brakuje już pracowników budowlanych – zajmuje Mikołaj Kuzniecowa z Beresteczka.

Poświęćmy mu chwilę uwagi. Był inżynierem kołchozowym, kiedy nadszedł kres ZSRR, a wraz z nim kołchozów i zawodu, który Mikołaj zdobył na pięcioletnich studiach. Wtedy stał się więźniem swojej Ukrainy. Jak poznać inne kraje z pensją równą pięćdziesięciu złotym na miesiąc? Mikołaj jeździł do Ostrawy na Morawach, żeby kopać rowy za dwadzieścia razy więcej. Oczywiście na czarno, ale „Czesi to dobrzy ludzie, nikt nic nie powiedział, nie wspomnieli nawet roku 1968, naprawdę taktowny naród”. Mikołaj podziwia Czechów za to, że są tacy inni niż człowiek radziecki: – Nikomu nie przyjdzie do głowy, żeby kraść narzędzia z miejsca pracy, choć leżą na wierzchu.

Teraz Mikołaj jest brygadzystą – buduje w Warszawie elegancki wieżowiec i zarabia tysiąc pięćset złotych na miesiąc, czyli dwa razy więcej niż pracownik naukowy w Kijowie, ale dziesięć procent mniej od Polaka z sąsiedniego rusztowania.

– Czasem myślę, że to niesprawiedliwe, ale co poradzić? Zresztą, to się jeszcze wyrówna.

Pytam, gdzie mam go szukać za pięć lat. W Szwecji? Nie, raczej w Londynie. – Chcę się uczyć języków. Wtedy chyba będę miał własną firmę.

Znajdują się i tacy, co przeskakują kilka szczebli. Jak Janis Runcis (nazwisko zmienione) z Ventspils w zachodniej Łotwie. Odbiera mnie z przystanku autobusowego swoim olbrzymim dodge'em interped 2000. Staram się pokazać, że jestem pod wrażeniem, ale niepotrzebnie.

– Posłuchaj, jaka tandeta – Janis stuka w tablicę rozdzielczą. Okazuje się, że to plastik. – Łotysze mają świra na punkcie Jankesów. Taką gablotę można zaparkować na środku skrzyżowania i nikt się nie przyczepi.

Limuzynę sprowadził z USA („można je tam kupić za grosze”), żeby sprzedać ją jakiemuś rodakowi bez gustu. Sam chciałby mieć volvo s70, bo wygląda na małe, choć jest duże. Ceni sobie szwedzką dyskrecję. Jego nowy dom budzi zgorzelenie w Ventspils. – **Wygląda jak barak – mówią ludzie. – Powinna być cegła, czemu budujesz z drewna?**

Janis jeździ do Szwecji od dziesięciu lat. Najpierw pilnował dzieci, później skrobał łodzie, budował pomosty i domki letnie. Teraz głównie remontuje wille. Dlaczego w Szwecji nie ma rzemieślników? Czy wszyscy postanowili zostać gwiazdami w telewizji?

– Ludzie dzwonią cały czas – mówi Runcis.

– Janis – tłumaczę – to przecież nielegalne.

– Wiem, ale co mam zrobić? Nie chcę żyć jak moi rodzice.

A podatki? Janis wyjaśnia, że zero minus zero zazwyczaj daje zero. Żadnej z prac, które w ciągu tych lat wykonywał, nikt nie zamówiłby „na biało”. – Nie odbieram zarobku nawet pracującym na czarno szwedzkim stolarzom. Czarnej roboty jest pod dostatkiem.

Zmęczony moim moralizowaniem ucina:

– Słuchaj, ja przynajmniej nie jeżdżę do Tajlandii, żeby pieprzyć dzieci.

Szwedzki Janisa Runcisa ma więcej odcieni od tego, którym wysławia się wicepremier Bosse Ringholm, a na jego biurku leżą skomplikowane rysunki techniczne.

– Szpiegostwo przemysłowe – śmieje się. – Przerysowałem futryny, które mamy tutaj zrobić.

Siedemset pięćdziesiąt złotych dla profesora uniwersytetu w Kijowie, czterdzieści razy więcej dla szwedzkiego młodzieńca, który rozładowuje dorsze w Norwegii. Różnica nie ma żadnego związku z wartością pracy, wszystko wynika z historii, granic i sztucznych kursów walut.

Nie słyszałem, żeby w Norwegii brakowało wody, ale butelka mineralnej kosztuje tam tyle, co dzienne wyżywienie dużej rodziny hinduskiej. Nie wiem, czy ten fakt powinien wywołać u Norwegów dumę, czy przerażenie. Jednak płace dostosowują się do cen, lub może na odwrót. W malejącej skali zjawisko to dotyczy wszystkich krajów, od bogatych, takich jak Wielka Brytania czy Norwegia, poprzez stadium pośrednie: Francję, Szwecję czy Niemcy, aż po Europę Środkową, Rumunię i Kazachstan.

Byłoby wbrew naturze, gdyby tuż po otwarciu granic ludzie nie ruszyli tłumnie ku bogatszym źródłom. Po drodze odsłaniają osobliwe zjawiska. Na przykład, że bezrobocie nie musi oznaczać, iż nie ma pracy.

Proszę bardzo, nawet w Zagłębiu Ruhry ludzie nie wiedzą, jak się spawa. W Belgii brakuje tokarzy, w Szwecji lekarzy

i murarzy, którzy wiedzą, jak zrobić sklepienie. Bezrobotna młodzież niemiecka wzmacnia mięśnie w siłowniach – zatem dlaczego w Niemczech brak chętnych do ratownictwa? Pytają o to na plaży w Sopocie, skąd ratowników podkupiono do pracy w niemieckim Zinnowitz (nie dlatego że byli tańsi, tylko że mieli doświadczenie). I dlaczego nie ma chętnych do opieki nad ludźmi starymi?

Kiedy Niemcy dziesięć lat temu uznali, że Polacy i inni wypierają ich z rynku pracy, rząd zadekretował, by firmy razem z każdą garstką obcokrajowców zatrudniały jednego niemieckiego bezrobotnego. Miało ich być pięć milionów. Stworzono miejsca pracy między innymi w rolnictwie. Jednak prawie nikt się nie zgłosił. Nielicznych zainteresowanych po dwóch dniach rozboleły krzyże i wkrótce odeszli na zwolnienie, jak opowiada socjolog Norbert Cyrus z Oldenburga, który prowadzi badania na temat migracji zarobkowej.

Cyrus wydaje się oburzony postępowaniem rodaków, ale ja ich rozumiem. Dlaczego mieliby nosić deski, pielic truskawki czy umierać z nudów w stróżówce, skoro mogą pograć w bilard, brać pieniądze z kasy chorych albo zasiłek dla bezrobotnych i mieć z tego niemal takie same dochody?

Mój rozmówca przyznaje, że jest w tym wiele prawdy. Poza tym jest jeszcze kwestia szparagów. W teorii marksistowskiej o szparagach ani słowa, a przecież są one częścią bytu, który określa świadomość. – Obecnie naród niemiecki – wyjaśnia Norbert Cyrus – konsumuje szparagi. Ta wymagająca wielkiej troski jarzyna była kiedyś symbolem dostatku.

Akurat wtedy, kiedy Związek Radziecki zachwiał się w posiadach, a na teren Niemiec zaczęli wjeżdżać polscy pracownicy sezonowi, proletariat niemiecki zasmakował w szparagach. Niemcy szybko dostrzegli zależność. Chcą jeść szparagi, ale nie chcą ich uprawiać. W Niemczech tylko dla Niemców szparagi musiałyby zniknąć.

Podejrzewam, że Norbert Cyrus dotarł do sedna sprawy.

Należy mieć na oku cenę szparagów. Kiedy bezrobotnego Niemca nie będzie już stać na nie, także polski hydraulik przestanie być zagrożeniem. Bo będzie, w ślad za przybyszami uprawiającymi szparagi, żądać więcej za swoją pracę.

Nie tylko pracownicy – również konsumenci stali się zdumiewająco ruchliwi.

Kiedy doktor Armand Ozolins po raz pierwszy obejrzał brytyjskie zęby, doznał szoku. Wprawdzie plomby siedziały na miejscu, ale wykończenie było murarskie. Chlapnięte zaprawą. Czy to taki serwis Brytyjczycy dostają za swoje podatki? To odkrycie napełniło doktora Ozolinsa optymizmem. Jego Łotwa nie jest tak zupełnie w tyle. Dzisiaj niemal co piąty spośród jego pacjentów w przychodni stomatologicznej w Rydze to przyjezdny z Zachodu. Niedużo w porównaniu z niektórymi dentystami w Tallinie czy Krakowie, którzy współpracują z biurami podróży. Biura oferują pakiet: rano muzeum, w południe dentysta, wieczorem teatr i elegancka kolacja. Rachunek za drugi punkt programu wysyłany jest do rodzimej kasy ubezpieczeniowej, która powinna być wdzięczna, że wyszło tak tanio.

Turystyka medyczna jest jeszcze w powijakach. Nie tak wielu ludzi w Szwecji wie, że Unia Europejska daje im prawo do bezpłatnej opieki medycznej gdziekolwiek na kontynencie, pod warunkiem że ich dolegliwość jest wystarczająco dokuczliwa, a kolejka w ojczystym kraju dostatecznie długa. Wiedzą o tym natomiast w klinikach w Koszalinie i w Szczecinie, które reklamują operacje wszczepienia by-passów i leczenie nowotworów.

Niektórzy twierdzą, że konkurencja jest pożyteczna, bo obnaża złe zarządzanie. Szwedzki pacjent nie umiera na raka w kolejce do szpitala z braku lekarzy (jest ich tu najwięcej w Europie), tylko dlatego że gigantyczna administracja, zafascynowana planowaniem, ma trudności z zetknięciem

lekarza z pacjentem. Ciągłe się rozmijają. (Obserwując te mężczyźni szwedzkiego planowania, trudno pojąć, jak w ogóle mogło dojść do bitwy pod Połtawą, tej, w której car Piotr Wielki pokonał Karola XII. Powinni się byli rozminąć co najmniej o stulecie).

A sale operacyjne w Polsce świecą pustkami nie dlatego, że ludzie są zdrowi, tylko dlatego, że na zabiegi nie starcza pieniędzy z kas chorych. I tak dalej.

Są też tacy, co twierdzą, że owi hydraulicy i dentyści to samo zło, bo tworzą nierówności lub zagrażają dobrobytowi.

Tu tak trudnych kwestii nie będziemy rozstrzygać. Możemy tylko sprawić, by widmo hydraulika stało się bardziej ludzkie, bo ten upiór ma żonę i dzieci. Można też spytać, co jest bardziej niebezpieczne. Widmo hydraulika czy lokalne upiory, obudzone przez jego wędrówki?

Według wiarygodnych statystyk milion polskich obywateli pracuje za granicą, niemal połowa w Niemczech. W ciągu pierwszego roku od rozszerzenia Unii w samej Wielkiej Brytanii pracę znalazło ponad sto czterdzieści tysięcy „nowych Europejczyków”, w większości Polaków. Przed oczami jawi się pochód lemingów, które ruszają w drogę zaraz po otwarciu granic, jednak jest to obraz fałszywy. Co trzeci był już wcześniej na miejscu, tyle że nielegalnie. Na budowach, w hotelarstwie, rybołówstwie, transporcie. Spora część przybyszów z Europy Wschodniej ma etap gasterbeitera za sobą – co czwarty pracuje w administracji lub biznesie.

Taką informację podał w lipcu 2005 roku Danny Sriksandarajah, rzecznik Institute for Public Policy Research w Londynie. Uśmiechał się znacząco podczas konferencji prasowej w Warszawie, mówiąc, że rozumie, dlaczego młodzi mieszkańcy Europy Wschodniej mierzą trochę wyżej niż zagon truskawek.

Nomadowie pracy przybywają do nas z pustymi kieszeniami

i jakby mimochodem wrzucają nam dylemat do porannej owianki. Czyich to mianowicie bronimy interesów, twierdząc, że nie wolno im pod żadnym pozorem sprzedać swej pracy taniej niż nasz rodzimy, szwedzki hydraulik? Ich praw, czy też naszego hydraulika? My oczywiście chcemy wierzyć, że nie ma żadnego dylematu, że równe płace i solidarność to jedno i to samo. To właśnie hasło powraca w reklamach związków zawodowych. Niestety, wszystko wskazuje, że to równanie nie ma tak wygodnego rozwiązania.

Dlaczego wystarczy stu pięćdziesięciu hydraulików, żeby przerazić Francję, skoro wejście na niemiecki rynek pracy tysięcy polskich rzeźników (którzy wyrugowali stamtąd setki miejscowych) wywołało jedynie słabe protesty w Republice Federalnej? Można podejrzewać, że pomni na historyczne zaszczości Niemcy wiedzą o najnowszych dziejach coś, czego nie wiedzą Francuzi. Podobnie jak wiedzą Polacy – Polska ma dwudziestoprocentowe bezrobocie, ale rząd próbuje zalegalizować pobyt pięciuset tysięcy Ukraińców, którzy pracują na czarno na wizie turystycznej.

Polski dyplomata tłumaczy, że jego rodacy mają swoisty dług – trudno utrudniać życie Ukraińcom, skoro setki tysięcy Polaków pracowało i pracuje na czarno na Zachodzie: – My wiemy, jak poniżająca jest taka praca i ta wiedza zobowiązuje. Musimy myśleć o przyszłości.

Już wkrótce starzejąca się Europa będzie walczyć o ukraińskich opiekunów (Portugalia już ich zamówiła), zatem trzeba pielęgnować relacje z nimi.

W mieście, gdzie zaczęły się te wszystkie kłopoty, spotykam Denisa MacShane'a – brytyjskiego związkowca, a ostatnio ministra do spraw Europy w rządzie Tony'ego Blaira. Przyjechał w sierpniu do Stoczni Gdańskiej, by z Lechem Wałęsą wspominać strajk z roku 1980, pierwszy krok na drodze do zjednoczenia Europy.

– *The Polish plumber?* – zagajam.

– *Oh, we love the Polish plumber! We love Egyptian plumbers, Islamic plumbers, any kind of plumbers! We just love plumbers... Because we need them.*

(– Polski hydraulik? – Kochamy polskiego hydraulika! Kochamy egipskich hydraulików, muzułmańskich hydraulików i wszystkich możliwych hydraulików! Wręcz przepadamy za hydraulikami... potrzebujemy ich).

Co miesiąc dziesięć tysięcy „nowych Europejczyków” rejestruje się jako pracownicy w Wielkiej Brytanii. MacShane uważa, że związki zawodowe w bogatych krajach powinny uważać, co mówią. Zanim zaczną namawiać po polsku czy portugalsku: „Wstąp do związku, oto twoje prawa, będziesz mieć taką samą pensję jak my”, muszą się zastanowić, co mają na myśli. To, co mówią, czy raczej: „Nie chcemy was tutaj, bo jesteście obcokrajowcami”?

Trudno mu zrozumieć bojkot robotników z Łotwy ogłoszony przez szwedzkie związki zawodowe w Vaxholmie, ten sam, który na nowo rozślawił Szwecję w Europie.

– Odkąd to – zastanawia się MacShane – szwedzkie związki są przeciwne taniej sile roboczej? To przecież niskie pensje Hiszpanów, Portugalczyków i Włochów w zakładach Volvo i Saaba zbudowały szwedzkie bogactwo. To jest właśnie szwedzki model: związki zawodowe hamują wzrost płac, żeby kapitał mógł się rozwijać.

Muszę przyznać, że sam zaczynam mieć problem ze szwedzkim modelem, jeśli „*Go home!*”, skierowane do Łotyszy i Rosjan w Vaxholmie, stanowi jego wzorzec. Być może coś mi umknęło, ale nie udało mi się znaleźć w Europie drugiego przypadku, by partia robotnicza tak jednoznacznie poparła wyrugowanie klasowych braci. Zrobił to jednak socjalista Göran Persson, kiedy pochwalił akcję Związku Budowlanych. Może nie wiedział, co czyni?